

# Miłość nie zna granic. Życie i cierpienie największej węgierskiej stygmatyczki

**Autorka: Erzsébet Galgoczy**

**Wydawnictwo: Fronda**

**Rok wydania: 2020**

## WSTĘP DO KSIĄŻKI

Ta książka jednych zgorszy, innych zaś zafascynuje, w każdym razie nikt nie pozostanie wobec niej obojętny. Jej czytelnik będzie musiał zmierzyć się z problemem cierpienia ewidentnego i zarazem bezdennego. Problemem tym większym, iż chodzi tu o cierpienie przyjęte, co więcej - pokochane.

Treść książki stanowią zapiski Erzsébet\* Galgóczy, węgierskiej katoliczki, która przez 42 lata trwała w doświadczeniu choroby, a oprócz tego przyjęła i nosiła na swoim ciele widoczne znaki męki Chrystusa - stygmaty. Połączenie postępującego fizycznego wyniszczenia z głęboką, intymną więzią z Chrystusem i Maryją, z przerażającym bólem i duchową, szlachetną radością, może stanowić świadectwo na wskroś szokujące. Co Bóg zechciał zakomunikować współczesnemu pokoleniu poprzez znak, jakim była historia tej kobiety, żyjącej w trudnych czasach Węgier zanurzonych najpierw w mroku wojen, a potem w skrzeczącej rzeczywistości ateistycznego komunizmu, tej chrześcijanki, która stała się - jak wielu innych wyznawców Kościoła w tej części świata - nie tyle męczennicą politycznej przemocy czy religijnych prześladowań, co szczególnego rodzaju świadkiem Boga. Erzsébet mówiła o Bogu: „On przyjął mnie jako ofiarę przebłagalną”. Po 28 latach swej wyjątkowo ciernistej i krwawej „drogi krzyżowej” pisała o niewysłowionym duchowym szczęściu, jakie stało się jej udziałem: „Nie ma na ziemi człowieka, z którym chciałabym się zamienić, nawet dzisiaj, gdy w moim ciele nie ma nic zdrowego”.

Postać Erzsébet Galgóczy to prawdziwe wyzwanie dla umysłu i wrażliwości człowieka współczesnego, szukającego wygody i zabezpieczeń. Podczas lektury jej zapisków z pewnością zadamy sobie pytanie: czy cierpienie ma sens? czy może być drogą do pełnej samorealizacji, do najwyższej formy bycia i kochania? Jeśli odpowiedź będzie twierdząca, to staną się one kluczem do najgłębszych sekretów egzystencji. Gdy jednak uznamy, że cierpienie to absurd i przekleństwo, zagrażające poczuciu ludzkiego szczęścia - wydadzą się bełkotem osoby chorej na umyśle, klinicznym przykładem religijnej patologii.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa niektórzy wyznawcy Chrystusa udawali się na pustynię, uznawaną za terytorium demona, obszar pokus i samotności, by tam toczyć zwycięski bój z wszelkimi wrogami ludzkiej nadziei. W tej zdumiewającej książce Erzsébet wyprowadza nas na teren wręcz przeklęty - w obszar ludzkiego cierpienia, gdzie wydaje się, że Bóg zbankrutował - by w samym środku osobistego piekła na ziemi ogłosić nam potęgę Zmartwychwstałego, zaświadczyć o tym, że Jego miłość potrafi zajaśnieć pełnym blaskiem w samym sercu ludzkiej kruchości. Czeka nas potężna konfrontacja z treścią tej książki. Nasze poglądy o życiu i jego sensie, nasze lęki i aspiracje, a zwłaszcza

gotowe, uporządkowane pojęcia religijne i egzystencjalne zderzą się niewątpliwie z doświadczeniem tej małej Węgierki. Obudzi się wiele odwiecznych pytań - to nieuniknione. Niektóre z nich chciałbym uprzedzić.

### CZY BÓG JEST SADYSTĄ?

Według znakomitego psychiatry z Krakowa, Antoniego Kępińskiego, człowieka, który poznał ból istnienia nie tylko z doświadczenia swych pacjentów, ale także i z własnego, ludzkie cierpienie wiąże się z zagrożeniem dwóch fundamentalnych motywacji: prawa zachowania życia oraz prawa zachowania gatunku. Troska „o jutro” i związane z nią pytania: co ze mną będzie? czy przetrwam próby? co po mnie pozostanie? dla kogo żyję? są zabijające. „Człowiek musi czuć się mocniejszy niż oczekująca go nieznana przyszłość, musi być przekonany, że ją zwycięży, a nie sam przez nią zostanie zwyciężony”. Bo gdy utraci *vis spectationis* - siłę spodziewania się, przyszłość przedstawi się mu w postaci czarnej ściany, tak jak się dzieje w depresji. „Nasze lęki wiążą się przeważnie z oczekiwaniami tego, co ma nastąpić.

Dlatego słusznie uważa się - pisał Kępiński - że lęk w swej istocie, mimo różnych postaci, jakie przybiera, jest zawsze lękiem przed śmiercią. Śmierci człowiek nie może zwyciężyć, jest ona silniejsza od niego...

Nasz świat, który wdaje się tak rzeczywisty i stabilny, staje się bańką mydlaną, złudą, która rozplywa się w momencie śmierci. Może więc słusznie uważa się, że tłem ludzkiej egzystencji jest lęk przed śmiercią”. Lęk przed śmiercią w swej czystej postaci nawiedza nas rzadko, częściej pojawiają się różne obawy związane tylko pośrednio z prawem zachowania życia, a więc strach przed utratą środków utrzymania, posady, urody, młodości czy dobrej opinii.

Według profesora Kępińskiego, człowiek może odnaleźć ratunek tylko w dążeniu do celów transcendentnych. Wówczas jakby przeskakuje własną śmierć i mierzy dalej, niż wymaga tego prawo zachowania życia. W lęku kurczymy się, w miłości - rozszerzamy. „Codzienna obserwacja uczy nas, jak ludzie pod wpływem miłości zmieniają się, nie tylko psychicznie, ale nawet psychicznie (kobiety pod wpływem miłości wyraźnie pięknieją)”. Szkoda, że nie wszyscy patrzą na życie w taki sposób, jak nieodżałowany profesor Kępiński.

Dla ludzkiej egzystencji, tak w wymiarze doczesnym, jak i w perspektywie wieczności, cierpienie jest bez wątpienia problemem numer jeden. Jest ono efektem zła zawinionego, a więc wojen, przemocy, podłości, kręctw i rozczarowań, jak też i zła tyleż niezawinionego, co nieuchronnego, czyli chorób, starzenia się, barier wydolności fizycznej czy psychicznej. Nie sposób wyliczyć ani nawet wyobrazić sobie wszystkich postaci i odmian cierpienia, które przenikają bólem i niszczą nasz ludzki świat. Wobec tego wszystkiego stajemy przerażeni i bezbronni, budzi to w nas lęk i osamotnienie, bezradność i bunt. Zwłaszcza że w miarę rozwoju cywilizacji i osiągnięcia nowych pułapów nowoczesności, przynoszącej dobrobyt czy ułatwiającą komunikację, cierpienia nie ubywa, a wręcz jest go jakby coraz więcej.

Cierpienie niezawinione, które dotyka ludzi bezbronnych i zasługujących raczej na miłość i pomyślność, to podstawowy problem odnoszący się do tego, co najistotniejsze: do sensu życia, obecności dobra, istnienia Boga.

Za każdym razem, gdy się pojawia, pociąga za sobą okrutne pytanie: dlaczego? Wielu ateistów twierdzi wprost, że największym argumentem przeciwko Bogu jest samo życie. Jeśli Bóg stworzył taki świat, byłoby może lepiej w ogóle się nie urodzić.

XX wiek, w którym przypadło żyć Erzsébet Galgóczy, był okresem szczególnie brzemennym w ból i udrękę, i właśnie to spowodowało, że wielu ludzi postawiło sobie pytanie: gdzie jest Bóg? I postawiło to pytanie na ostrzu noża.

Pytania o Boga w kontekście cierpienia wpisują się w tradycję tzw. teodycei - pojęcia, którego autorem jest Gottfried Wilhelm Leibniz. Oznacza ona dosłownie „usprawiedliwianie Boga” (gr. tbeos - Bóg, dikaioein - usprawiedliwić). Jak pogodzić Boga miłosiernego z ogromem doświadczanych potworności: raka, AIDS czy tsunami? Si Deus iustus, undemalum? Pytanie to, jak powiadał Georg Buchner, staje się „skałą ateizmu”. Niemniej jednak, jak pokazuje współczesne zmaganie się intelektu z życiem, ateizm niejednokrotnie kompromituje nie tyle Boga, jako takiego, co fałszywe wyobrażenia o Nim. Nasz obraz Boga został ukształtowany w taki sposób, że wydaje się On samotnym Absolutem i niedostępnym Ideałem, który nigdy się nie zmienia i którego nic nie jest w stanie osiągnąć. Jest wielkim Stwórcą zasiadającym na niebieskim tronie i patrzącym z oddali na to, co się z nami tu, na ziemi, dzieje. Jak w takim razie w świetle tych wyobrażeń wygląda Jego relacja ze światem? Świat potrzebuje Boga, ale Bóg nie potrzebuje świata. Nic światu nie zawdzięcza, świat nie może wpłynąć na Niego. Problem tej asymetryczności w relacji Boga ze światem polega na tym, że pozostaje On nieporuszony cierpieniem swoich stworzeń i nie docenia ich wolności. Nie robi Mu wielkiej różnicy, czy Go kochamy, czy nie, czy używamy naszej wolnej woli do czynienia dobra, czy zła.

Taki obraz trudno pogodzić z biblijnym wizerunkiem Boga osobowego i działającego w historii, który poszukuje ludzi, cieszy się z ich pomyślnych wyborów i, jak Ojciec, reaguje wzruszeniem na widok powracającego syna (Łk 15, 11-32). Cała Biblia ukazuje nam Boga reagującego na ludzkie decyzje, które na Niego również oddziałują. Mówi się dziś o konieczności rewizji idei Boga zawartej w teologii klasycznej, a zwłaszcza koncepcji Jego relacji ze światem. Rewizja dotyczyć by miała pojęcia Jego niezmienności. Autentyczna, interpersonalna relacja, w jaką Bóg wchodzi ze swoim stworzeniem, pociąga za sobą wręcz obustronność i wzajemność miłości, zakładającą że Bogu naprawdę zależy na jakości osób i historii.

Problem cierpienia powraca za każdym razem, gdy musimy zmierzyć się z dramatycznymi wydarzeniami. Zaraz po wojnie egzystencjalista francuski, Albert Camus, wyraził go w metaforycznej powieści „Dżuma”, wkładając w usta doktora Rieux słowa; „Wyrobiłem sobie inne pojęcie o miłości i aż do śmierci odżegnuję się miłować ten świat, gdzie torturuje się dzieci”. Zaś teolog niemiecki, Jurgen Moltmann, który przeżył pobyt w obozie nazistowskim, pisał: „Cierpienie jednego niewinnego dziecka jest nieodpartym dowodem przeciwko koncepcji Boga wszechmogącego i dobrego, który przebywa w niebie. Albowiem taki Bóg, który pozwala na niewinne cierpienie i który dopuszcza bezsensowną śmierć, w ogóle nie jest godny miana Boga”.

W ostatnich latach wszystkie te pytania skupił się w „problemie Boga po Auschwitz”, gdzie nazwa oświęcimskiego obozu zagłady stanowi symbol wszelkiego zła, efekt długiego procesu dekompozycji, który doprowadził ludzkość do ekstremalnych granic - zdolności do bestialstwa i autodestrukcji. Wyzwanie teologiczne rzucili przedstawiciele narodu żydowskiego, który doświadczył koszmaru shoah, mimo iż był narodem wybranym przez Boga. Richard L. Rubenstein, Elie Wiesel, Hans Jonas i

inni postawili pytanie: dlaczego Bóg na to pozwolił? Czy Bóg jest jeszcze Panem historii? Czy o tym Bogu można jeszcze mówić, że jest wszechmogący?

Bóg, jakiego można się dziś domyślać w tle ludzkich dramatów, stanowi antytezę pojęć pochodzących z tradycji judeochrześcijańskiej. Hans Jonas powiada, że w świetle tych wydarzeń zakwestionowaniu podlegają trzy atrybuty Boga: Jego dobroć, wszechmoc oraz pojmowalność, a właściwie relacje pomiędzy nimi, bowiem powiązanie ze sobą dwóch z nich wyklucza istnienie trzeciego. Które zatem atrybuty są tak fundamentalne dla naszego wyobrażenia o Bogu, że są nie do zakwestionowania? A który powinien zostać wykluczony? Ponieważ nic można zaprzeczyć dobroci Boga (Bóg byłby potworny - a to jest niemożliwe) ani jego pojmowalność (wprawdzie ograniczonej, ale bez niej Bóg utraciłby swój realizm, stałby się mitem), pozostaje jedynie podważenie Jego omnipotencji. Wobec Boga, który milczy w obliczu krematorium, umierających na raka czy startych w proch pod gruzami wieżowców na Manhattanie, nic ma innego wyjścia. Bóg nie interweniował nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że nie mógł. Oto jedna z dróg wyjaśnienia paradoksu Boga w mrocznej historii XX wieku, biorąca pod uwagę na serio tak moralne zło, jak i ludzką wolność. Podarowując człowiekowi wolność, Bóg ograniczył się w swej mocy' - stwierdza Jonas.

Inną drogą którą wybiera współczesna teologia, próbująca już nie tyle rozwiązać teoretyczny problem: dlaczego Bóg pozwala, żeby to się wydarzyło? ile raczej odpowiedzieć na pojawiające się na gruncie wiary pytanie egzystencjalne: Boże, gdzie jesteś? jest przyjęcie koncepcji Boga cierpiącego. Chodzi tu o tzw. teologię krzyża rozwijaną dziś w środowiskach protestanckich i katolickich, w myśl której odpowiedź na pytanie: gdzie jest Bóg, kiedy cierpię? brzmi: dzieli wraz ze mną mój ból. Według tej koncepcji, Bóg poddał się wraz ze swym Synem męce na krzyżu. Nie pozostaje poza zasięgiem bólu, jako niewzruszony Obserwator, ale sam bierze udział w cierpieniu swego stworzenia i dzięki temu najpełniej objawia swą ojcowską miłość. Taka teologia cierpiętności Boga podszyta jest moralizmem: z powodu bólu istniejącego na świecie Bóg ma moralny obowiązek cierpieć. Tak sponiewierany - w moim wyobrażeniu — Bóg ma nadać sens cierpieniu poprzez usatysfakcjonowanie ludzkiego poczucia sprawiedliwości. „Jest rzeczą uderzającą - pisał kardynał Joseph Ratzinger - że większość oskarżeń przeciwko Panu Bogu nie pochodzi od cierpiących tego świata, ale od sytych widzów, którzy nigdy nie cierpieli. Cierpiący nauczyli się widzieć... Odpowiedź Boga na ludzkie cierpienie nie polega na wyjaśnianiu. Jego odpowiedzią jest rzeczywiste współcierpienie, nie samo tylko współczucie”.

#### PARADOKS KRZYŻA - CO JEDNYCH GORSZY, A INNYCH ZBAWIA?

Postmodernistyczny kryzys wartości, z jakim mamy obecnie do czynienia, a wraz z nim kryzys wiary w Boga, nie jest wywołany jedynie przez racjonalizm i liberalizm, czyli idolatrię rozumu i ludzkiej wolności. Współczesny ateizm ma swe najgłębsze korzenie w zgorszeniu krzyżem.

My, chrześcijanie, określamy mianem krzyża nie tylko narzędzie tortury, które w czasach antycznych służyło do jak najbardziej ohydnych uśmiercania skazańców, ale krzyżem nazywamy też wszelkie cierpienie, ból, krzywdę, niesprawiedliwość, niekorzystne wydarzenia życiowe, nieprzychylnie potraktowanie przez innych, upokorzenie, porażkę, wstyd, poczucie winy, chorobę, utratę najbliższych, brak pracy czy pieniędzy - wszystko to, co niszczy lub degraduje nasze życie, odbiera mu smak i rozmach, a z czym spotykamy się sporadycznie, okresowo, bądź na co dzień.

W tym znaczeniu wiele jest krzyży, które musi dźwigać człowiek od momentu przyjścia na świat. Są one różnej wielkości i pojawiają się w różnych okresach życia. W każdym razie krzyż jako rzeczywistość cierpienia i udręki stawia pod znakiem zapytania ludzkie dążenie do szczęścia, jakby pojawiał się tylko po to, by niweczyć wszelkie plany i pragnienia spokojnego i bezpiecznego życia. Krzyż rodzi zatem bunt. W cierpieniu chcemy protestować, podnieść pięść, szukać sprawiedliwości na własną rękę i dopatrywać się winnych. Uciekając od krzyża, popadamy w lęk, neurozy, dopuszczamy się gwałtowności, widzimy w innych wrogów, zamykamy się w egoizmie. Nie ma innej drogi ucieczki od krzyża, jak grzech. W konsekwencji z powodu strachu przed bólem i umieraniem stajemy się niewolnikami zła. Tysiące lat istnienia człowieka na ziemi nie dostarczyły mu żadnego panaceum na niego samego. Jego największym problemem jest nieustający lęk przed utratą życia. Oswojeniu tego największego wroga mają służyć rytuały religijne i wytwory fantazji. W wielu religiach człowiek szuka Bóstwa, by móc się osłonić przed nieuchronnym bólem istnienia; tymczasem ateizm czy indyferentyzm religijny jest formą wyzwania Boga na pojedynek i wypowiedzenia Mu postuszeństwa - aż po zanegowanie Jego istnienia.

Bóg odpowiedział na ten problem, posyłając swego Syna z misją zbawienia świata. Jednakże Chrystus nie przychodzi po to, żeby usunąć cierpienie, ale po to, by je zbawić, usuwając jego śmiertelny jad. Nie chce pozbawić człowieka krzyża, alienując go z rzeczywistości, ale pragnie, by ten podjął krzyż i na nim zwyciężył. Ewangelia cierpienia, którą głoszą apostołowie, jest Dobrą Nowiną o Chrystusie Ukrzyżowanym. Bóg wszedł w cierpienie i śmierć, poddał się jego przekleństwu, aby w tym miejscu, gdzie ludzie gubią się i tracą sens życia — aż na dnie nędzy i rozpacz, na krańcach ludzkiej wytrzymałości i akceptacji, i poza nią - zatriumfować jako Pan nowego życia i Zwycięzca śmierci.

„Aby móc poznać prawdziwą odpowiedź na pytanie ‘dlaczego cierpienie’ - uczył Jan Paweł II - musimy skierować nasze spojrzenie na objawienie Bożej miłości. Miłość jest najpełniejszym źródłem odpowiedzi na pytanie o sens cierpienia. Odpowiedzi tej udzielił Bóg człowiekowi w Krzyżu Jezusa Chrystusa”. Zwycięstwo odniesione przez Chrystusa na krzyżu nie polega na tym, że usunął On cierpienie z ludzkiego doczesnego bytowania, ale że przewyciężył je miłością. Ewangelia jest nowym światłem zbawienia rzuconym na ludzkie doświadczenie krzyża. Jan Paweł II mówił też: „Chrystus przybliżył się do świata ludzkiego cierpienia przez to, że sam to cierpienie wziął na siebie”.

Chrystus cierpiał dobrowolnie i niewinnie. W ten sposób podjął pytanie stawiane wielokrotnie przez ludzi - odwieczne pytanie Hioba. Jak zauważa św. Paweł: krzyż jest „zgorzeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan” (1 Kor 1,23). Zgorzenie Bogiem: jak to możliwe, że dobry Bóg nęka mnie cierpieniem, zsyła ból na niewinnych? Tym bardziej na „Żyda”, który w logice nauczania św. Pawła reprezentuje człowieka religijnego, wierzącego w moc Prawa i w to, że żyjąc sprawiedliwie, może zasłużyć na pomyślność i błogosławieństwo Boże. Dla ludzi o tego rodzaju mentalności cierpienie jest skandalem, poczuciem krzywdy, pogwałceniem zasady „coś za coś”. Dlatego też Żydzi żądają znaków (1 Kor 1,22), cudów, chcą, aby Bóg wyeliminował cierpienie. Jest to miłość warunkowa, żądająca dowodów, stawiająca sprawę na ostrzu noża: „Niechże teraz zejdzie z krzyża, a uwierzemy w Niego” (Mt 27,42). W przeciwnym razie: bunt, przekleństwo...

Z drugiej strony, krzyż to absurd, coś niepojętego, niesłychanego. Jest głupstwem dla pogan”. Cierpienie nic tylko zakłóca zdolność przewidywania, planowania, spryt życiowy, ale i możliwość rozwiązywania problemów, wymyślania remedium. Krzyż jest niezrozumiały dla poganina, Greka, dla racjonalisty polegającego na inteligencji. Ponieważ „Grecy szukają mądrości” (1 Kor 1,22), odrzucają

cierpienie jako nielogiczne i upokarzające, a skoro należy ono do kategorii zjawisk niewytłumaczalnych, zasługuje jedynie na pogardę i odrzucenie. Efektem przyjęcia takiej postawy jest życiowy cynizm, zgorzknienie i depresja.

Jednakże Chrystus przynosi odpowiedź! Daje ją, jak pisał Jan Paweł II, „nie samym swoim nauczaniem: Dobrą Nowiną, ale przede wszystkim własnym cierpieniem, które z tym nauczaniem, z Dobrą Nowiną scalone jest w sposób organiczny i nierozzerwalny. Jest to jakby ostatecznie, syntetyczne słowo tego nauczania: nauka krzyża”. Nauka krzyża jest paradoksem: to, co po ludzku jest znakiem klęski, uznawane jest za zło i uwarunkowanie zła, dla Chrystusa staje się instrumentem przełamania zła i największą prawdą życia. Cierpienie osiągnęło swój zenit w męce na Kalwarii. Zostało wprowadzone w nowy wymiar. Na zawsze związało się z Miłością. Chrystus sięgnął do korzeni zła i negacji, aby stamtąd wyprowadzić życie i dobro. Właśnie tam, gdzie wszyscy kapitulujemy w obliczu bólu i upokorzenia, nie widząc sensu życia i bluźniąc Bogu, Chrystus objawia największą prawdę o miłości. Wypełnia samym sobą nieosiągalne pragnienie człowieka i najwyższe prawo życia: będziesz miłował! Rozpięty na krzyżu, kocha Boga całym sercem, całym umysłem i ze wszystkich sił. W Jego ręce oddaje swoje życie i w ostatecznym, ekstremalnym momencie przyznaje się całkowicie do Miłości. Kocha bliźniego, nie wyłączając nieprzyjaciół i zabójców: „Ojcze, przebacz im” (Łk 23,34). Tutaj życie zostaje uwolnione, aby mogło osiągnąć swój szczyt.

Krzyż Chrystusa przyniósł przełom: odkupienie dokonało się poprzez cierpienie, ale wraz z tym samo cierpienie zostało odkupione. Chrystus cierpiał za nas i dla nas. Przyjął na siebie całe przekleństwo i absurd cierpienia, aby pozbawić je trującej mocy; na krzyżu został złamany jego oścień, kolec, który dotąd miażdżył i zabijał życie ludzkie. Od czasu, gdy „Chrystus wyniósł ludzkie cierpienie na poziom odkupienia - nauczał Jan Raweł II - każdy jest wezwany do uczestnictwa w tym cierpieniu”. Daje to nową szansę zrealizowania się w miłości. Krzyż staje się chwalebny, otwiera pomost do Boga, umożliwia spotkanie Go w faktach po ludzku niepomysłnych. Prowadzi do zakosztowania Jego miłości i intymności z Nim. Ułatwia odkrycie Dawcy nieśmiertelności na zakręcie życia. Jest chwalebny, bo zrywa okowy lęku i egoizmu, umożliwia kochanie, wydobywa z człowieka jego najszlachetniejsze właściwości, otwiera na doświadczenie wolności. Według papieża Benedykta XVI, „wiarą nie szuka cierpienia, ale uczy, że życie bez cierpienia nie osiąga pełni”. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że w cierpieniu człowiek zostaje skonfrontowany z faktem, że nie może rozporządzać własnym życiem, bo ono nie jest jego własnością, a on nie jest bogiem siebie samego. Łaska prowadzi do rozbicia twardej skorupy samouwielbienia, która tłumi w człowieku miłość do Boga. Prawdziwy człowiek objawia się dopiero po przejściu przez krzyż. Co to oznacza? Nietrudno to sobie uświadomić w dobie przesyty człowieka własnym człowieczeństwem, kiedy już nie znosi on ani samego siebie, ani innych. W efekcie w drugim człowieku dostrzega albo nagą małą, albo też wyjątkowo złośliwego szczura, którego koniecznie musi dogonić, a jeszcze lepiej - prześcignąć. Droga do odkrycia bliźniego w innym człowieku wiedzie tylko poprzez przecierpienie samego siebie, przełamanie własnego „ja” i uwolnienie się od tyranii egoizmu.

Apostołowie i pierwsi uczniowie Jezusa spoglądali na krzyż przez pryzmat zmartwychwstania. Tajemnica pasyjna zawarta jest w tajemnicy paschalnej. Świadcowie męki Chrystusa są zarazem świadkami Jego zmartwychwstania. Dlatego chrześcijanin podąża „drogą paschalną” i w zetknięciu się z krzyżem może doświadczać mocy zwycięstwa nad śmiercią. Krzyż jest kluczem do chwały, drogą do nieba, wezwaniem do przekraczania ludzkich ograniczeń. Zatem możliwe jest nie tylko zaakceptowanie krzyża, ale i chlubienie się nim.

Na krzyżu Zbawiciel osiągnął pełnię swego postannictwa i przez krzyż dalej realizuje misję odkupienia Kościoła. Przenikając życie swych uczniów, zstępuje do ostatecznych granic ich słabości, aby tam potwierdzić moc zmartwychwstania - przełamywać scandalum crucis. Chrystus całkowicie utożsamia się ze swym uwielbionym Ciałem - Kościołem, i do tego stopnia uczestniczy w cierpieniu swych uczniów, że sam doznaje cierpienia. „Dlaczego Mnie prześladujesz?” - mówił do Szawła pod Damaszkiem, kiedy tamten zajmował się uprzykrzaniem życia chrześcijanom.

„Kto jesteś, Panie?” - pytał zaskoczony Szaweł, który wcześniej nigdy nie zetknął się z Osobą Zbawiciela. W odpowiedzi usłyszał: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz” (Dz 9,4-5). Podobny sens miały słowa Jezusa: „Byłem głodny, a daliście Mi jeść” (Mt 25, 35). W Jezusie Chrystusie poprzez moc Ducha Świętego możemy poznać, że Bóg nie jest daleko, poza i ponad człowiekiem, lecz na odwrót - znajduje się bardzo blisko, jest wręcz złączony ze wszystkimi ludźmi w każdej okoliczności ich życia. Więcej jeszcze: odkupienie, którego Chrystus dokonał na Kalwarii, dzięki niesamowitej więzi łączącej Go z Jego uczniami ciągle żyje i rozwija się w dziejach kolejnych ludzkich pokoleń. W takim świetle łatwiej zrozumieć słowa św. Pawła: „Jak bowiem obfitują w nas cierpienia Chrystusa, tak też wielkiej doznajemy przez Chrystusa pociechy” (2 Kor 1,5), czy też: „Skoro wspólnie z Nim cierpimy, to po to, by wspólnie mieć udział w chwale” (Rz 8, 17), i wreszcie: „Ze swej strony dopełniam niedostatki udręk Chrystusa w moim ciele dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1, 24). A więc każde ludzkie cierpienie jest dopełnieniem cierpienia Chrystusa. „Takie postawienie sprawy; jak się zdaje - pisał Antchony E. Harvey - nie ma odpowiednika w znanych nam żydowskich i pogańskich źródłach oraz świętych pismach żadnej innej religii”.

#### JAK CIERPIĄ ŚWIĘCI?

„Poprzez wieki i pokolenia stwierdzono - zauważył Jan Paweł II - że w cierpieniu kryje się szczególna moc przybliżająca człowieka wewnątrz do Chrystusa, jakaś szczególna łaska. Tej łasce zawdzięcza swoje głębokie nawrócenie wielu świętych”. Święci doceniali cierpienie, bo znali jego wartość. Ojciec Pio tym, którzy prosili go o usunięcie jakiegoś kłopotu czy dolegliwości, odpowiadał: „Przychodzą do mnie, bym im odebrał krzyż” . Wiedział dobrze, że cierpienie połączone z modlitwą to potężna broń - nazywał je „świętą monetą” na okup łask Bożych. Niektórzy z obdarowanych przez niego słyszeli: „Gdybyś wiedział, ile mnie kosztowała ta łaska”. Św. Jan Vianney był spowiednikiem znanym z wyznaczania łagodnej pokuty - resztę bowiem brał na siebie. Natomiast Matka Teresa z Kalkuty przyznawała, iż siłą do służenia umierającym w Indiach zawdzięczała pewnej chorej Belgijce, która ofiarowywała w jej intencji swoje codzienne udręczenie.

„Mądrości krzyża można nauczyć się tylko wtedy - mówiła św. Edyta Stein - gdy krzyż czuje się w samym sobie”. O prawdziwości tego twierdzenia zaświadczyli liczni święci, czyli autentyczni chrześcijanie, którzy uwierzyli i aż do końca pozwolili żyć w sobie miłości Chrystusa. „Nie błagam Cię o to, Boże, byś mnie nie doświadczał - prosiła św. Bernadetta Soubirous - ale byś nie opuszczał mnie w tych doświadczeniach”. Maria Anna Long, dwunastoletnia dziewczyna chora na nowotwór, po licznych radioterapiach straciła oko. Urósł jej też duży guz w ustach. Zapytał ją ktoś któregoś razu, dlaczego nie modli się do Pana Boga o uleczenie. I usłyszał w odpowiedzi: „Bóg wybrał dla mnie taką drogę”. Pewien uzdrowiciel nakłaniał chorą Marię Annę: „Pan Jezus może cię uleczyć. Wiem, że On może uleczyć. On może zrobić wszystko”. W końcu ta odparła: „Nie obchodzi mnie, czy mnie uleczy, czy też nie. To Jego sprawa”. Brat Elias, młody trapista z opactwa Gethsemani - tego samego, do

którego należał Tomasz Merton, w końcowym stadium raka płuc mówił: „Nigdy nie wyobrażałem sobie, że tak słodko jest umierać”. Jak to możliwe, że ci świadkowie Boga w momencie, gdy doznawali zła, jednocześnie widzieli i przeżywali zetknięcie z najwyższym dobrem? I podejmowali je już nie tylko dla własnego oczyszczenia i zjednoczenia z Bogiem, ale aby cierpieć za innych?

Bóg jest *koinonią*, to znaczy, żyje w trynitarnej wspólnotcie jako Ojciec, Syn i Duch Święty. Ale nie wystarcza sam sobie, lecz niejako wychyla się w stronę swojego stworzenia i pragnie doprowadzić je do owej wewnątrztrynitarnej, Boskiej komunii. W tym celu wybiera sobie wysłanników, na których nakłada krzyż swojego Syna. Niesienie krzyża przez ucznia Chrystusa oznacza świętość. Ta zaś nie polega na bezbłędności, lecz na absolutnym zaufaniu i zawierzeniu Bogu. Nieważne, że masz wiele wad i defektów, istotne jest to, byś przekonał się o bezgranicznej miłości Boga. Akcent nie spoczywa na człowieku, ale na Bogu. Nie liczy się wcale to, czy „ja chcę być świętym”, ale uznanie, że święty i dobry jest Bóg. By być świętym, nie trzeba posiadać silnej woli, odwagi czy charakteru — przeciwnie: należy być małym i ubogim, jak dziecko. Chrześcijańska asceza nie polega na ćwiczeniach pokutnych i umartwieniach, ale na odrzuceniu własnej woli, odstąpieniu od swoich praw, stanięciu w cieniu i nieopieraniu się Bogu. Aby umarło fałszywe i zgubne „ja”, trzeba przejść od samoobrony do kapitulacji względem Boga i uwolnić się od konieczności bronienia czegokolwiek. Projekt Boga, zmierzający do obdarowania człowieka świętością, zmierza do przełamania jego narcystycznego kompleksu, powodującego, że umiera on od zakochania się we własnym wizerunku. Człowiek zamknięty w kręgu własnych spraw, spełniający tylko własne drobne zachcianki, bez nieba, bez życia wiecznego, bez eschatologii, przypomina przywiązane do słupa niewolnika, pocieszającego się jedynie tym, że - jak by nie było - to jego własny słup.

Swoich wybrańców Bóg prowadzi do Królestwa Niebieskiego drogą paschalną: zrywa więzy łączące ich ze światem, aby upodobnili się do Jego Syna. Alter Chrystus - stać się podobnym do Chrystusa, Jego żywą ikoną. W ten sposób chrześcijanie są kształtowani na Jego ukrzyżowane podobieństwo, a jako obywatele nieba, uczestniczą równocześnie w Jego zwycięstwie. Szczególnym wyrazem owego upodobnienia się do Chrystusa Ukrzyżowanego i zarazem znakiem Jego zmartwychwstania są stygmaty. Potrzeba jeszcze na koniec dodać słowo wyjaśnienia na ich temat.

#### ZNAMIE PRZYNALEŻNOŚCI DO CHRYSYUSA

Nie wolno zapominać, że Chrystus po powrocie z cmentarza w poranek wielkanocny zachował na swym ciele ślady krzyżowych ran, będących dowodem zwycięskiej mocy cierpienia. Poprzez swego Ducha tchnął ją następnie w serca apostołów, których posłał na świat. W ten właśnie sposób głosi On i wciela w pokolenia uczniów swoją ewangelię cierpienia. Pierwszy rozdział tej ewangelii — jak sugestywnie wyjaśniał papież Jan Paweł II — piszą ci, którzy cierpią prześladowania ze względu na Chrystusa. Drugi natomiast, wszyscy ci, którzy wraz z Nim cierpią. „Wypełnia się na nich więc ewangelia cierpienia, a równocześnie każdy z nich pisze ją jakoś w dalszym ciągu - pisze i głosi światu, przepowiada swemu otoczeniu i ludziom współczesnym”.

Greckim terminem stigmata nazywano w czasach starożytnych znak, który wypalano żelazem na skórze przestępcy lub niewolnika, aby określić, czyją był on własnością. Św. Paweł chlubił się swoimi bliznami, pozostałymi po szykanach i prześladowaniach. Mówił, że jest to „znamie przynależności do Jezusa” (Ga 6,17). Takie znaki nosiło na swym ciele, zwłaszcza w pierwszych wiekach, wielu



chrześcijańskich męczenników. Klasyczne zaś stygmaty w postaci samoczynnie pojawiających się, krwawiących ran, stanowiące mistyczny symbol oblubieńczej zażyłości z Chrystusem i подарowane przez Niego Jego wybrańcom, znane są od XIII wieku, począwszy od św. Franciszka z Asyżu. Według najnowszych badań Instytutu Studiów Franciszkańskich w Krakowie, opublikowanych we wrześniu 2005 r., do dziś naliczono w Kościele 454 stygmatyków, w tym 392 kobiety i 62 mężczyzn. Najwięcej ich żyło w XVII wieku. Aktualnie znanych jest 45 osób obdarzonych stygmatami (32 kobiety i 13 mężczyzn, w tym 3 zakonnice i 1 kapłan). Stygmatycy to ludzie żyjący na styku dwóch światów. Łączą w sobie heroiczną świętość życia z bolesną ofiarą, będącą zadośćuczynieniem za cudze winy. Cierpią, by inni mogli się opamiętać i nawrócić. Stawiają czoła szatanowi, który wielu prowadzi do nędzy. Są niejako prorokami najgłębszej prawdy życia, specyficznym językiem Boga, znakiem sprzeciwu. Oprócz dolegliwości fizycznych często też doświadczają pogardy i odrzucenia ze strony otoczenia. Stygmaty — przeważnie traktowane jako fakt wstydlivy i krępujący — skazują ich na niekończące się dociekania władz kościelnych czy państwowych, ekspertyzy medyczne albo wścibstwo żądnych sensacji mediów. Bywa, że swe cierpienia przeżywają w sekrecie, z samym tylko Chrystusem, podczas gdy nikt z otoczenia nie zdaje sobie z tego sprawy. Często oskarża się ich o pychę, zuchwalstwo, szarlatanerię bądź też histerię religijną. Nieraz potrzebna jest odporność i poczucie humoru ojca Pio, który na zarzut sceptycznych lekarzy; że jego rany mogły stanowić efekt bardzo silnej autosugestii, wynikającej z psychicznego zafiksowania na męce Chrystusa, miał poradzić im, by sami spróbowali trochę poeksperymentować, na przykład skupić mocno swe myśli na byku, a wnet prawdopodobnie wyrosną im rogi i kopyta.

Jak przyznał profesor Jean Lhermitte, członek Francuskiej Akademii Medycznej, „proces stygmatyzacji ukazuje się nam jako coś zupełnie niezrozumiałego, nie do pomyślenia. Rzeczywiście, nie istnieje żaden proces fizjologiczny, który by w jakimkolwiek stopniu przypominał stygmatyzację. Zjawisko to, jeśli nie jest zwykłym oszustwem, stanowi właściwości pewnej kategorii osób i podlega mechanizmom wymykającym się całkowicie spod jego ujęcia naukowego”.

Stygmaty stanowią zewnętrzne znaki bardzo intymnej relacji z Chrystusem i umiłowania Jego męki. Dla obdarowanego nimi chrześcijanina są niejako „sakramentem” przewycięzonej wrogości wobec krzyża, przejawem przyjęcia wybraństwa Bożego, przez co może on w samym sobie doświadczać Ducha Zmartwychwstałego, który kocha grzeszników i jest gotowy dźwigać na sobie całą podłość i odstępstwa tego świata. Jest to skonkretyzowane w najwyższym stopniu „dopełnianie udręk Chrystusa”, służące dobru Jego Ciała, czyli Kościoła.

Naznaczenie kogoś stygmatami wiąże się z całkowicie suwerenną decyzją Boga i jest najczęściej owocem długotrwałej oblubieńczej zażyłości z Nim. Zazwyczaj stoi za tym mistyczna i niejednokrotnie zupełnie zaskakująca dla obdarowanego interwencja Chrystusa. Tak było ze św. Franciszkiem na górze Alverno, któremu na modlitwie objawił się anioł Pański. Zdarzenie to zostało opisane przez św. Bonawenturę: „Po niebiańskiej i serdecznej rozmowie widzenie znikło, zostawiając w jego sercu nieopisany żar i odciskając na jego ciele cudowne piętna Ukrzyżowanego... Istotnie, ukazały się ślady gwoździ po stronie wewnętrznej dłoni i zewnętrznej stóp, a po stronie przeciwnej znaki ich zaokrąglonych końców. Jego prawy bok wyglądał jak przebity włócznią - przecinała go czerwona blizna, z której często spływała krew i wsiąkała w jego odzienie”. Opis ten uzupełnił św. Franciszek Salezy: „Z drugiej strony, widząc tak żywo odtworzone rany ukrzyżowanego Zbawiciela, poczuł w swej duszy ten miecz gwałtowny, który przebił świętą pierś Dziewicy-Matki w dniu Męki Pańskiej, z takim wewnętrznym bólem, jakby został ukrzyżowany razem ze swoim Zbawcą”.

Podobnie było z ojcem Pio, który 20 września 1918 r. otrzymał —jako pierwszy kapłan w historii - widzialne znaki Chrystusowych ran. Sam tak to opisuje: „Siedziałem na chórze po odprawieniu Mszy św., kiedy owładnęła mną jakaś ociążałość, podobna do snu. Wszystkie moje wewnętrzne i zewnętrzne zmysły, a także dusza pogrążyły się w nieopisanym ukojeniu. Kiedy trwałem w takim stanie, zobaczyłem obok tajemniczą postać, podobną do tej, którą widziałem już 5 sierpnia, z tą różnicą, że ta miała ręce, nogi i bok ociekające krwią. Widok ten przeraził mnie. Doznałem uczuć, których nigdy nie zdołałem opisać. Poczulem, że umieram i umarłbym, gdyby Pan nie podtrzymał tłukącego się w piersiach serca. Kiedy tajemnicza postać znikła, spostrzegłem, że moje dłonie, stopy i bok przebity ociekają krwią. Proszę sobie wyobrazić mękę, jakiej wówczas doznałem i doznaję nieustannie każdego dnia. Rana serca krwawi obficie, zwłaszcza od wieczora w piątek do soboty rano”.

Spośród licznych stygmatyczek należy wymienić choćby najstynniejsze, jak św. Małgorzata Węgierska, św. Aniela z Foligno, św. Brygida Szwedzka, św. Katarzyna ze Sieny, bł. Dorota z Mątowów, św. Rita z Cascia, św. Małgorzata Maria Alacoque czy też bł. Anna Katarzyna Emmerich (Mel Gibson w oparciu o jej wizje męki Pańskiej zrealizował swój słynny film „Pasja”). Były to siostry zakonne albo też osoby świeckie - żony, matki, nauczycielki czy służące, jak np. Teresa Higginson, Adriennę von Speyr i Martha Robin. Wiele z nich było udręczonych ciężką chorobą, jak choćby św. Ludwika z Schiedam (1380-1433), która stała się natchnieniem dla Tomasza Kempis, autora słynnej książeczki „O naśladowaniu Chrystusa”. Przez 38 lat leżała ze złamanym kręgosłupem (efekt upadku na ślizgawce), przy czym mogła poruszać jedynie głową i jednym ramieniem. W tym stanie przeżyła napad bandytów, podczas którego została dotkliwie pobita. Od 28 roku życia nosiła stygmaty.

Podobnie było ze św. Gemmą Galgani (1878-1903), która niemal całe swoje życie spędziła, leżąc w łóżku i tracąc po kolei swoich najbliższych: rodziców i brata. Gdy Gemma otrzymała pierwsze stygmaty na dłoniach i stopach, powiedziała do swej ciotki: „Popatrz tylko, co zrobił mi Jezus”. Warto dodać, że w jej przypadku ogromną rolę odegrała Matka Boża, która ją troskliwie przygotowywała do oddania ofiary z życia. Nie sposób opisać historii życia wszystkich ukrzyżowanych świadków Chrystusa. Trzeba by jeszcze wspomnieć Alexandrinę Marię Costa, która złamała kręgosłup, gdy skokiem z okna na drugim piętrze domu ratowała się przed gwałcicielem. Annę Schaeffer - cierpiącą na bolesne poparzenia nóg po tym, jak wpadła do wrzątku podczas prania, Teresę Neumann - sparaliżowaną i ociemniałą mistyczkę z Bawarii, czy cierpiącą na letargiczne zapalenie mózgu Marthę Robin, która przez 52 lata nie tylko nie opuściła łóżka, ale nawet nie zmieniła pozycji ciała wygiętego na kształt litery „m”, na dodatek ostatnie 25 lat spędziła w ciemności, ponieważ jej oczy nie znosiły światła. Martha Robin nosiła stygmaty przez pół wieku i posiadała umysł godny wybitnego filozofa - doradzała m.in. papieżowi Pawłowi VI i kardynałowi Jeanowi Danielou.

Wiele z osób naznaczonych stygmatami przeżywało szczególną więź z Chrystusem w Eucharystii. Karmiły się często Ciałem Pańskim, czasami otrzymywały komunię wprost z rąk Jezusa lub Maryi. Znakiem nasycania się obecnością Chrystusa we mszy św. bywało i to, że poza komunią św. latami nie przyjmowały żadnych innych pokarmów. Naprawdę dziwnym zjawiskiem są ci wybrańcy Boga. Swoim życiem pokazują nam, że Bóg żyje i że Chrystusowe dzieło zbawienia trwa nadal. Przejęci miłością Chrystusa do grzeszników i potęgą przebaczenia, pragnęli być żywymi żertwami ofiarnymi, wynagradzać i ułatwiać powrót ludzi do ich Zbawiciela.

Porusza mnie fakt, że Bóg nie zaprzestaje powoływać w świecie tych przedziwnych świadków męki i zmartwychwstania swego Syna. Wygląda na to, że w naszych czasach mamy do czynienia z jakimś przyspieszeniem działania Boga, jakby wręcz przynaglał dzieje, budząc wciąż nowych świętych, męczenników i nosicieli ran Chrystusa. Zwłaszcza że te oznaki Jego mocy są tak blisko nas. Przykładem świadectwo zawarte w tej książce - historia niezwykłego życia i miłowania Erzsébet Galgóczy, wizjonerki i stygmatyczki, a przede wszystkim małej uczennicy Chrystusa. Jej zapiski to urzekający opis wchodzenia Boga w życie kogoś, kto, jak wielu z nas, poznał przemoc historii i szarą rzeczywistość demoludów. Życie i doświadczenie wiary Erzsébet należy odczytywać profetycznie. Na swój sposób przygotowała ona drogę odnowy soborowej w Kościele. Zanim umarła w 1962 r., musiała już znać zamiary papieża Jana XXIII; widać zresztą z jej notatek, jak wielką miłością darzyła osobę Ojca Świętego. Jeszcze za jej życia została ogłoszona publicznie data rozpoczęcia Soboru Watykańskiego II — 11 października 1962 r. Czy przypadkowo jest ta tak bardzo widoczna zbieżność intencji? Sobór zaczyna swe prace od odnowy liturgii, by podkreślić specjalną rolę Eucharystii w życiu chrześcijanina i umożliwić mu jak najlepsze uczestnictwo w tajemnicy Chrystusa. Erzsébet domaga się szerszego dostępu do Eucharystii, wręcz prosi o jak najczęstszy udział w komunii sakramentalnej z Jezusem. Mówi, że chce być „stałym tabernakulum, łącznikiem między niebem a ziemią”.

Proces informacyjny Erzsébet jest w toku. Ufajmy, że rychło doczeka się ona beatyfikacji. Węgrzy będą mieli nowy znak obecności Boga w ich życiu. Pamiętajmy, że chodzi tu o jeden z najbardziej zsekularyzowanych narodów Europy, rezultat wieloletniej komunistycznej ateizacji. Dziś przoduje on na naszym kontynencie w mrocznym rankingu liczby popełnianych samobójstw. Ta mała Węgierka jest prezentem także dla nas, Polaków, być może bardziej przez Boga rozpieszczanych. Mamy przecież św. Faustynę, ukrytą stygmatyczkę i sekretarkę Bożego miłosierdzia. Mamy też s. Wandę Broniszewską (+2.III.2003r.) z bezhabitowego zgromadzenia Sióstr od Aniołów. Okazuje się, że na peryferiach wielkiej aglomeracji Warszawy, w Chylicach, żyła skromna, niemrawa siostra, która od 1934 r. posiadała stygmaty ran Chrystusa, nosiła ciężki krzyż chorób nabytych i przejmowanych od innych, rozmawiała z Chrystusem twarzą w twarz i całe swe cierpienie oddawała Bogu za niewierne i upadające sługi Kościoła. Na obrzeżach wielkomiejskiego, rozpędzonego i lekkomyślnego życia umierał Chrystus w schorowanym ciele słabej kobiety. Oto krótki zapis z przeżyć siostry Wandy: „Podczas ekstaz temperatura ciała lekko podwyższona. Puls przyspieszony. Żadnych grymasów, nienaturalnych spojrzeń, dziwacznych ruchów, charczeń, jęków, krzyków. Czasem zgrzyt zębów. Ogólnie odrętwiała, usta spieczone, nie biorą udziału w mowie, brak śliny, słowa gardłowe. - Gdzie siostra jest w tej chwili? - U stóp krzyża. - Za kogo siostra dziś ma cierpieć? - Za tych, co nie chcą przyjąć krzyża”.

Przekroczyliśmy bramy trzeciego tysiąclecia, żyjemy w jednoczącej się Europie, w której ludzie zapełniają stadiony i wielkie hale techno, a omijają katedry. Mamy niż demograficzny i świat przeniknięty debatą i polityką. Boimy się inwazji islamu, odczuwamy strach przed imigrantami. Na rynek wchodzi coraz nowsze i tańsze narkotyki i używki. Wielu młodych ludzi rezygnuje z życia, spędzając czas przed komputerem. Specjaliści mówią już o nowej, wirtualnej, internetowej osobowości, przystosowanej do przyjmowania wyłącznie rzeczy łatwych i lekkostrawnych. Jan Paweł II powtarzał, że tego świata nie uratują ani partie, ani rewolucje, lecz święci. Często to właśnie ich życie, a nie naukowe prace historyków, filozofów czy teologów, najlepiej interpretuje znaczenie jakichś wydarzeń.

Dzięki nim odczytamy znaki czasów i na nowo nauczymy się odmawiać Credo. Hans Urs von Balthazar życie świętych nazywał „dogmatyką doświadczalną”. Przed nami otwarta księga życia i cierpienia Erzsébet Galgóczy.

Ks. prof dr hab. Robert Skrzypczak

\* Węgierskie imię Erzsébet ma swój polski odpowiednik w imieniu Elżbieta.